



MUZYCZNE PODSUMOWANIE ROKU 2014!

MOMENTY, KTÓRYCH NIE DA SIĘ ZAPISAĆ

wywiad z Wojciechem Waglewskim

MUZYKA SZYTA NA MIARĘ

o styku mody i muzyki

 **mic**
MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

numer
#08
styczeń 2015

ISSN 2299-6273

KONCERTY W NCPP
SALA KAMERALNA

**KRZYSZTOF
ZALEWSKI**
07.03.2015



SKUBAS
20.03.2015



HEY

12.03.2015

SPIS TREŚCI

SHORTY

NEWSY, CIEKAWOSTKI, INFORMACJE

str. 04

HISTORIA JEDNEJ PIOSENKI

CESARZ, PAPIEŻ I WOJNA, KTÓRA TRWA

str. 05

MOMENTY, KTÓRYCH NIE DA SIĘ ZAPISAĆ

WYWIAD Z WOJCIECHEM WAGLEWSKIM

str. 06

THE FLAMING LIPS

WCIĄGAJ BRZUCH → SYLWETKA

str. 09

MUZYKA SZYTA NA MIARĘ

O STYKU MODY I MUZYKI

str. 10

GALERIA

FOTORELACJA Z KONCERTÓW W NCPP

str. 12

SZAFA GRAJĄCA

THESE NEW PURITANS „NOTHING ELSE”

str. 14

MUZYCZNE PODSUMOWANIE ROKU

O CZYM WARTO JESZCZE WSPOMNIEĆ, A CO POWINNO ZOSTAĆ PRZEMILCZANE

str. 16

ZALECA SIĘ

MUZYKA, FILM

str. 21

TEN TEGO

Na „Porozumieniu Ponad Podziałami” Kazik śpiewa, że „przysłowia są mądrością narodu”. Prawda to, z którą nie ma co polemizować. Ale czy na pewno? Bo co, jeśli porzekadła straciły pierwotne znaczenie i już mało kto zdaje sobie sprawę, że są opacznie rozumiane? A jak przyjrzeć się dokładniej temu zagadnieniu, to okazuje się, że do przeinaczeń mamy talent. Przykład? Pamiętacie, kiedy w naszym kraju pojawiły się oferty określane mianem *all inclusive* oraz bary spod znaku „jedz, ile tylko dasz radę”. Jako że na pomysł pierwsi wpadli Amerykanie, najczęściej określane były zapożyczonym *all you can eat*, które u nas – o zgrozo – przybrało formę bliższą *till vomit*. Niby niewielka różnica... Ale to jeszcze nic, gorzej, jak w grę wchodzi powiedzenia o znacznie starszym rodowodzie. Moim najbardziej znienawidzonym jest „o gustach się nie dyskutuje”. Nie dlatego, że nie lubię rozmawiać, przekonywać, argumentować, wymieniać się spostrzeżeniami, ocenami czy pomysłami, ale właśnie dlatego, że już dawno przestało ono mieć z tym cokolwiek wspólnego. Nie wiem dlaczego i nie mam zamiaru tu dociekać, co było powodem, ale zamiast nieść ze sobą szacunek dla rozmówcy, który uważa inaczej, a z którym warto wymienić się poglądami, spróbować się wzajemnie przekonać, bez jednoczesnego naskakiwania, narzucania czy agresywnego „nawracania” na jedyny słuszny punkt widzenia, stało się wytrychem, który ułatwia okopanie się na swoich pozycjach. Ja uważam tak, ty uważasz inaczej, szkoda gadać, nie mam zamiaru strzepić języka, bo nie masz racji, zresztą i tak nie zrozumiesz. Poza tym – i tu niestety pada wspomnienie wcześniej – o gustach się nie dyskutuje... Otóż nie! Właśnie, że się dyskutuje, ale dyskusja nie musi się kończyć wynikiem 1:0 lub, mówiąc inaczej, dzielić rozmawiających na wygranych (tych, co przegrali) i przegranych (tych, co dali się przekonać/zakrzycić)! Dlaczego o tym piszę? Bo trzymasz właśnie w rękach nowiutkiego MIC-a! Ósmy numer, jako że wydany na początku 2015 roku, obfituje w podsumowania, czyli mówi o tym, co ciekawego przez ostatnie dwanaście miesięcy wydarzyło się w muzyce. Jest to nasze subiektywne zdanie, dlatego zerknijcie, oceńcie, ale przede wszystkim posłuchajcie. Może uda nam się o tym kiedyś podyskutować? A póki co, w ramach noworocznych życzeń, polecam utwór grupy Pogodno pt. „Chodzimy spać co laska” z płyty „Pielgrzymka psów”:

*Chodzimy spać co laska
Serdecznie zapraszamy do środka
Żądamy wszystkiego najlepszego!*

Czego i Wam życzę.
Marek Szubryt



MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej stronie

www.mic.ncpp.pl

SNOOP DOGG POWRACA!

Po raz pierwszy od 2011 roku Calvin Cordozar Broadus Junior wyda płytę jako Snoop Dogg. Zapewne nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że gościem albumu będzie sam Stevie Wonder! Całość wyprodukuje Król Midas, czyli nie kto inny jak Pharrell Williams. Producent stwierdził, że „album Snoopa jest lepszy niż mój”, co może pachnieć najwykleszą kokieterią, ale może być także zapowiedzią czegoś szczególnego. Odpalamy „Drop it like it’s hot” i zacieramy ręce.

Michał Mościcki



NAGRYWANIE W TOKU

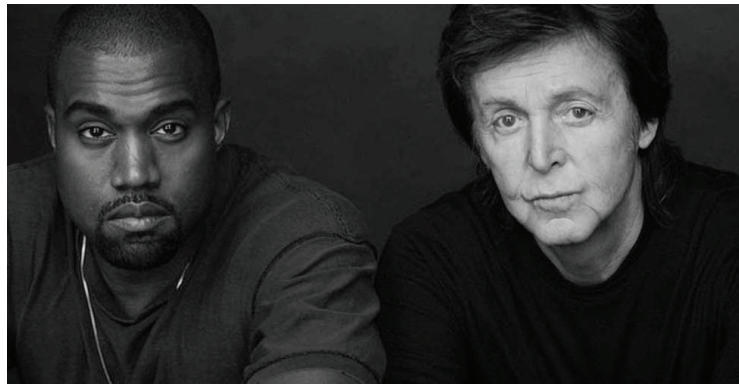
PJ Harvey przygotowuje się do nagrania swej kolejnej płyty. I nie byłoby w tej wiadomości nic wyjątkowego, gdyby nie sposób, w jaki ów materiał ma powstać. Otóż w Somerset House w Londynie powstanie przezroczyste studio nagraniowe, w którym muzycy wraz z producentami (którymi są Flood i Theo Parish) oraz inżynierami dźwięku będą pracować nad najnowszą płytą Polly Jean. Całemu procesowi od wstępu do soboty będą mogli przyglądać się zwiedzający. A całe przedsięwzięcie nosi nazwę „Recording in Progress”. Jeśli w tym momencie nabraliście ochoty na wycieczkę do Londynu, to pragniemy donieść, że wszystkie bilety wyprzedają się na pniu.

Rafał Czarniecki

KANYE WEST ŁASKAWYM JEST

Gwiazda hip-hopu wykazała się nie lada empatią, przynajmniej w oczach niektórych swoich fanów. Po wydaniu singla „Only one”, zapowiadającego nowe wydawnictwo, który stworzył wraz z Paulem McCartneyem, miłośnicy twórczości Westa nie mogli wyjść z podziwu: „dobrze, że Kanye wspiera nieznanych artystów”. Chodzą słuchy, że to nie ostatnia kolaboracja obu panów. Paul może w końcu spać spokojnie, wiadomym jest, że „teraz kariera tego faceta przyspieszy”.

Michał Mościcki



MUZYCZNY KONIEC ŚWIATA

Może was zdziwimy, ale ten tytuł nie zapowiada nowej płyty Lady Gagi (choć pewnie mógłby) ani innej gwiazdki pop. Chodzi natomiast o nagranie, które telewizja CNN miała wyemitować w chwili, gdy nadejdzie koniec świata. Założyciel CNN Ted Turner wspominał o nim jakiś czas temu podczas wywiadu dla „New Yorkera”, ale wtedy nikt jego słów nie brał na serio. Do czasu, gdy odbywający staż w CNN niejaki Mike Ballabama, przeglądając archiwum stacji, natrafił na tzw. „niezbity dowód”. Na filmie widać orkiestrę, która stoi przed ówczesną siedzibą telewizji i wykonuje pieśń „Nearer, My God, to Thee”. Nagranie miało wyemitować ostatni żyjący pracownik stacji. To się nazywa profesjonalizm i przygotowanie na absolutnie każdą sytuację!

Rafał Czarniecki

CESARZ, PAPIEŻ I WOJNA, KTÓRA TRWA

Najbardziej charyzmatyczni światowi przywódcy często wygłaszają mniej lub bardziej płomienne przemówienia. Najważniejsze z nich przechodzą do historii, a ich fragmenty na stałe wchodzą do języka. Martin Luther King ma swoje *I have a dream*, a Lech Wałęsa – *My, naród*. Rzadko zdarza się jednak, aby spora część wygłaszanych słów przeszła do klasyki i utkwiała w głowach milionów słuchaczy, zwłaszcza po kilkunastu latach od ich wypowiedzenia.

W październiku 1963 roku przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ stał cesarz Haile Selassie I, niepodzielnie rządzący Etiopią od 1930 roku. Nie pierwszy raz dane mu jest występować przed międzynarodowym gremium, aby upominać się o sprawy kluczowe dla jego narodu i całego regionu. Już w latach trzydziestych przed Ligą Narodów ostrzegał przed faszystowskimi Włochami i Mussolinim. Jego słowa okazały się prorocze. Tym razem tematem wystąpienia cesarza był pokój na



świecie, równość wszystkich ras, religii i narodów oraz zdecydowany sprzeciw wobec zbrojeń nuklearnych. Mówił zdecydowanie, mocno, a język amharski, którym się posługiwał, brzmiał wyjątkowo dostojnie. Jego przemowa, podobnie jak setki innych, przeszłaby zapewne bez echa, a o jego przesłaniu pamiętałoby niewielu, gdyby nie... Bob Marley. Najbardziej znany Jamajczyk, a zarazem jedna z największych gwiazd światowej muzyki, umieścił pełen emocji fragment przemówienia Selassiego na swojej płycie pt. „Rastaman Vibration”. Tak powstał utwór „War”, jedna z najbardziej znanych pieśni Marleya i jednocześnie protest song o zasięgu globalnym. To, że muzyk sięgnął po słowa cesarza, nie może dziwić, mając na uwadze ruch Rastafari, którego był wyznawcą i propagatorem. Rastafarianie wierzą w boskość „Lwa z plemienia Judy”. Początek kultu ma ścisły związek z działalnością Marcusa Garveya, pioniera ruchu panafrkańskiego, który na początku XX wieku walczył o równouprawnienie, dostęp do wiedzy i jedność Afroamerykanów. Był też gorącym orędownikiem powrotu potomków niewolników do Afryki. Wypowiedział słowa: „Zwróćcie

oczy w stronę Afryki, gdzie koronuje się Czarny Król”, które w momencie wstąpienia na tron Haile Selassiego stały się dla Jamajczyków proroczym. Dla większości Polaków władca Etiopii to postać jednoznacznie negatywna, a na tę ocenę wpływ miał wydany w 1978 roku „Cesarz” Ryszarda Kapuścińskiego. W przeszłości bywało inaczej, np. w 1930 roku Selassie został odznaczony Orderem Orła Białego. Dla przywódców „świata zachodniego” był on symbolem oporu, najpierw walczył z faszyzmem, następnie z komunizmem, który niczym choroba trawił kontynent afrykański. Za pomocą skomponowanej muzyki Marley i członkowie The Wailers nadali słowom „Jego Wysokości” buntowniczego charakteru, a śpiewane przez wielotysięczny tłum nabierają dodatkowej mocy. To po ten utwór sięgnęła w 1992 roku Sinead O'Connor, kiedy na koncercie z okazji 30-lecia działalności Boba Dylana licznie zgromadzona publiczność podniosła larum i wygwizdała artystkę. Związane to było z jej występem w jednym z amerykańskich talk-show, podczas którego podarła zdjęcie Jana Pawła II w odpowiedzi na skrzętnie ukrywane przez Kościół przypadki molestowania dzieci. Zamiast planowanego „I believe in you” Sinead wyśpiewała, a w zasadzie niemal wykrzyczała, utwór Marleya. Moc przekazu pieśni skłoniła również szereg wykonawców do stworzenia swoich wersji utworu: siłę jego perswazji nie oparła się nawet Sepultura, a w 2009 roku serwisem YouTube zawładnął projekt „Playing for change”, w którym „War” wykonują artyści z kilkunastu krajów świata, pośród których pojawia się m.in. Bono. The Wailers zdecydowali się na swoisty suplement do utworu i na żywo łączyli go z „No more Trouble”, w którym Bob śpiewał: „nie potrzeba nam więcej kłopotów, miłość jest tym, czego potrzebujemy”. Trudno o lepsze życzenia noworoczne...

Michał Mościcki



Pod koniec października grupa Voo Voo wydała kolejną płytę. Niecałe trzy tygodnie później „Dobry wieczór” można było usłyszeć w Sali Kameralnej, co – jak zaznaczał w wielu wywiadach Wojciech Waglewski – w przypadku ostatniego albumu grupy ma niebagatelne znaczenie. O tym, dlaczego na koncertach warto tańczyć, czym jest muzyka oraz czego mogliby słuchać dziennikarze TVN Style, tuż po koncercie w NCPP z Wojciechem Waglewskim, liderem zespołu Voo Voo, rozmawiają Jowita Lis i Stanisław Bitka z magazynu Prowincja.

S: Parę lat temu w Krakowie, podczas spotkania z Wojciechem Mannem i Grzegorzem Turnaem, powiedział Pan bardzo interesującą rzecz na temat odbioru muzyki w Europie...

Europa ma salonowy odbiór muzyki, dlatego ja lubię muzykę rockową, bo ona zakłada jakieś uczestnictwo publiczności. Mój przyjaciel Mamadou Diouf z Senegalu, kiedy pojawił się w Europie, był wstrząśnięty tym, że muzyki można słuchać na siedząco. Dla niego to jest kompletnie porażająca sytuacja – on nie jest w stanie przy muzyce usiedzieć. Jest taka anegdota pewnego muzykologa, już nie pamiętam, w jakiej książce ją przeczytałem, ale była

bardzo mądra i, myślę, bardzo dobrze opisująca różnice w podejściu do muzyki. Otóż jest to historia z sympozjum, które odbywało się gdzieś w Szwajcarii, gdzie spotkali się muzycy i muzykolodzy ze Wschodu i z tzw. kultury europejskiej. Oczywiście przy okazji odbywały się koncerty. Podczas sympozjum wystąpił też pewien Hindus, któremu podobały się koncerty, ale był zaskoczony prezentowanym tam podejściem do muzyki. Uwagę zwracano bowiem na trzy elementy, jego zdaniem najmniej istotne: na melodię, choć przecież melodia się pojawia, kiedy ktoś mówi, sam język jest melodią, harmonię, która również się pojawia sama – wystarczy, że trzy osoby mówią jednocześnie, i na rytm, który jest z kolei czymś danym człowiekowi przez puls w organizmie... Zapytano Hindusa, czym więc jest muzyka, a on odpowiedział, że muzyka jest tym, co jest między tymi elementami. To jest bardzo mądre i ja też tak pojmuję muzykę.

S: Czyli w Pańskiej twórczości stara się Pan szukać tego, co jest pomiędzy?

To są emocje. Muzyka to jest walka między intelektem a emocjami. Ja bardzo nie lubię takich recenzji z koncertów, że ktoś przychodzi i wszystko analizuje. Cała moja radość z muzykowania polega na szaleństwie.

Jako zespół niczego nie planujemy. Piosenki są napisane w pewnym porządku, to jest nasz punkt wyjścia. Nienawidzę takich opisów koncertów, że: „Tu było za długo, a tu było za krótko”. Oczywiście, jeśli się improwizuje, jeśli się szaleje, zdarzają się koncerty złe. Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że gramy czasami złe koncerty. Wypuszczamy się na wielką wodę i to, jak się w niej poczujemy, zależy od tego, czy między nami coś, mówiąc kolokwialnie, zatrybi i czy ludność to podejmie. To jest ta przygoda, która nas nieustannie pasjonuje. Mamy też to szczęście, że spotykamy nieprawdopodobnych artystów. Na ostatniej płycie jest to Alim Qasimov – muzyk absolutnie genialny. Miałem okazję, może jeszcze dwukrotnie w życiu, być na scenie z ludźmi genialnymi. Wszyscy mamy tak samo, czy Don Cherry, czy Qasimov. To znaczy, że muzyką dla nas nie jest zagranie piosenki, tylko to, co się wydarzy w trakcie grania. To jest wielka wyższość muzykowania nad każdym innym rodzajem sztuki. Pisarz musi poczekać, aż go wydrukują, malarz musi czekać, aż farba wyschnie, a my tworzymy efekt na bieżąco – mamy momenty, których się nie da zapisać. Nawet jeśli ukazują się płyty koncertowe, to nigdy nie oddają tego, co się naprawdę na koncertach dzieje. To jest wspaniałość.

J: Mówił Pan i o emocjach, i o intelekcie. Proszę powiedzieć, jak przedstawiają się te proporcje przy komponowaniu płyty?

To jest bolesne, ale ten intelekt musi zadziałać. Muzyka jest czymś takim, co potrafi być interesujące jedynie dla samych muzyków. Ja traktuję to jako zawód, w którym należy kształcić się pod okiem jakichś mistrzów. Zawsze miałem mistrzów w życiu i uważam, że to jest najlepsza metoda uprawiania sztuki – znalezienie sobie mistrza i słuchanie, co on ma do powiedzenia. Tych mistrzów bezpośrednich miałem paru, ale za mistrzów uważam też fantastycznych ludzi, których widziałem na koncercie, np.

Milesa Davisa. Nie mogłoby być nic gorszego niż granie w zespole Milesa Davisa, on był dla swoich muzyków niezwykle okrutny! Ale Miles mnie przekonał, że można muzyką improwizowaną tak zbudować dramaturgię, że będzie ona strawna nawet dla dziennikarki TVN Style. Wtedy uwierzyłem, że intelekt można włączyć. Byłem wielokrotnie na koncertach wybitnych artystów, które były nudne, bo zabrakło owego myślenia o dramaturgii. Niezwykle, jak można sknocić najlepsze rzeczy. W związku z czym ten intelekt jest niezbędny, tak jak ten element szaleństwa. Czasami z przykrością muszę największe wzloty Mateusza czy kolegów z zespołu brutalnie stłumić. Ale tak trzeba, bo mam świadomość, z racji podglądania wielkich mistrzów, że to może być wtedy fajne tylko dla nas.

S: A jak Pan ocenia zastępcę Alima? Mój kolega zasugerował w koleżce, że może to alter ego Mateusza? No bo w Polsce Alim nie jest zbyt znany...

Alim to człowiek, który ma nagrodę UNESCO, taki odpowiednik Nobla. No nie jest znany, choć wydawałoby się, że w erze internetu ta muzyka staje się bliska. Mateusz natomiast śpiewa z duszy, on podąża za tym, co usłyszał, i robi to fantastycznie, bo właśnie tam są jego emocje. Alim to mistrz konkretnego stylu, on przywrócił światu pieśni *mugham*, które zostały wpisane do dziedzictwa narodowego. Jest to człowiek, który operuje bardzo konkretną techniką, tak jak i jego córka Farghana. Natomiast Mateo robi to wszystko bardzo emocjonalnie, trzeba pamiętać, że Mateusz jest głównie saksofonistą w tym zespole. Wydaje mi się jednak, że ta dusza i serce, którą Mateo wkłada w śpiewanie, jest czasami nawet ważniejsza niż technika. Zresztą z nami, jako zespołem, w ogóle jest tak, że my bardzo dużo czerpiemy od wszystkich mistrzów, z którymi się spotykamy. Mateusz

for Karim Zia



swego czasu nauczył się od zespołu mongolskiego techniki gardłowej. To są takie elementy, które trochę po omacku podkradamy. Janerka też przychodził na nasze koncerty, mówiąc, że chce coś zerznąć. My też zrzynamy – od każdego, kto się gdzieś pojawi, ale mamy swój język i to się w końcu staje nasze. Mateusz jest Mateuszem i jest nieporównywalny z Alimem.

S: Jeśli mówimy o zastępstwach, jak z perspektywy czasu ocenia Pan grę Michała Bryndala? (Zastąpił zmarłego Piotra „Stopę” Żyżelewicza – red.). Trochę czasu już minęło, ale zastąpienie Stopy to niesamowicie trudne zadanie...

Ta płyta to oceniła, a jest to bardzo trudne. Myśleliśmy o tym, żeby już nie grać, żeby dać sobie spokój. Mimo wszystko to jest zespół oparty na osobowościach. Wydaje mi się, że strata każdego człowieka jest do uzupełnienia, pod warunkiem, że za niego wchodzi ktoś z własną twarzą. Początkowo popełnialiśmy błąd, bo szukaliśmy muzyków

grających podobnie do Stopki. To nas troszkę zmęczyło i to był błąd. Michał natomiast wszedł jak kogucik. Nie do końca wiedział, co gramy. Przyszedł ze środowiska jazzowego, koledzy się nabijali – „ze staruchami będziesz grał, przestań, Budka Suflera” (śmiech). Nie wiedział, że będzie miał do czynienia z formą improwizowaną... To wszystko było dla niego „nówka sztuka” i w rezultacie bardzo się w to wkroczył. Ostatni album ze Stopką „Wszyscy muzycy to wojownicy” był mocno rockową płytą i wiedziałem, że to nie jest to, co Brynda lubi. Podczas koncertów zobaczyłem, że on ma bardzo konkretny pomysł na granie. Jest nieprzekupny, więc przestałem pewne rzeczy od niego egzekwować, bo wiem, że ma dobry gust i wie, o co chodzi. Płyta „Dobry wieczór” jest w dużej mierze zdeterminowana przez Brynda. On tam robi swoje, interpretując moje pomysły na utwory, co koniec końców wychodzi fantastycznie. To człowiek, który ma swoją osobowość, i to jest fajne. Troszkę nas śmierci dotknęło w tym zespole, wszystkie te momenty były złe, ale mam świadomość, że chociażby z powodu tych śmierci trzeba grać. Chociażby po to, żeby nagrać płytę dedykowaną Stopce.

S: Jak już wszystkich obgadujemy, przejdźmy do Karima. Znowu wziął kontrabas...

To była moja sugestia. Kiedy wszedł Brynda, wiedziałem, że w takiej mocnej muzyce, która choć fajna na dużych stadionach, on źle się czuje. Nie było szans, żeby nasze granie miało takiego kopa, jaki miało ze Stopką. Bez niego ta muzyka straciła sens i nie ma co się bawić w to dalej. Wymyśliłem sobie za to taką koncepcję, że skoro Brynda, jak my wszyscy, lubi zmiany dynamiczne, żeby raz było cicho, raz było głośno, a najbardziej lubianym przez Karima instrumentem jest kontrabas, to zróbmy tak: nie wracajmy już do takiej nu-jazzowej formy jak na „Voo Voo z kobietami”, tylko zagrajmy rock&rolla,

bardziej przypominającego jakiegoś tam rockabilly, ale też rock&rolla z taką przyczajką, tak by kontrabas mógł się fajnie sprawdzić. Poza tym nie ma w Polsce zespołów rockowych z kontrabasistą, a Karim jest naprawdę dobry. Po koncertach promujących tę płytę wiemy, że to tak miało być.

J: Jest Pan określany jako specjalista od duetów. Czy to ze Stańką, czy z Maleńczukiem. Jak do tego dochodzi? Czy to są oficjalne zaproszenia, własne prywatne inicjatywy?

Każdy duet ma swoją historię, długo by opowiadać. Kiedyś, dawno temu, Maleńki mówił, że trzeba by nagrać płytę. A potem był pewien festiwal w Warszawie związany ze sztuką filmową i ja tam grałem we wszystkich możliwych kombinacjach. Zapytali, czybym nie zagrał duetu z Maleńkim. Jako że właściwie kiedyś o tym myśleliśmy, to powiedziałem „może tak”. Więc Maleńki przyjechał do mnie. Mieliśmy zrobić próbę, ale wypiliśmy parę butelek wina, pojechaliśmy na ten koncert i było świetnie! Na to zgadali się nasi menedżerowie i powiedzieli, że musimy wejść do studia za tydzień. I tak się stało.

J: A czy jest jakiś artysta, z którym chciałyby Pan jeszcze zagrać?

Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że mnie spotka zaszczyt wspólnego grania z Alimem. To naprawdę był przypadek. W Rzeszowie był taki festiwal Wschód Kultury. Padł pomysł, żeby artyści polscy typu Myslovitz, Hey, Voo Voo zegrali z artystami zza tej wschodniej granicy. No i oni nam najpierw podrzucili artystów fantastycznych, ale mało inspirujących. I nagle, ni stąd, ni zowąd, padło nazwisko Qasimova. Ja Qasimova znałem i wiedziałem, że od śmieci Nusrata Fateh Ali Khana to jest największy głos na świecie. Obserwowałem wszystko, co robi. Byłem w szoku, że takie nazwisko padło i że to właśnie my



możemy z nim zagrać. Mam to szczęście, ten komfort, że nie szukam. Mam naprawdę genialnych muzyków w zespole i nie muszę nikogo zapraszać. W ogóle myślałem, żeby już nikogo nie zapraszać, ale czasami się coś takiego zdarzy. Nie mam pomysłu, z kim bym chciał zagrać, ale różne rzeczy się mogą wydarzyć. Kiedyś gadaliśmy z Leszkiem Możdżerem. Graliśmy parę razy i było sympatycznie, ale Lechu jest strasznie zapracowany, poza tym jest związany z bardzo mocnym, zagranicznym wydawcą i to nie jest takie proste. Ma tam parę płyt, jeszcze nie wydanych, a już nagranych. A te wszystkie moje rzeczy wychodziły bez ciśnienia, one pojawiały się ot tak, zwyczajnie, po prostu chcieliśmy pograć, bez założenia, że musi być płyta. Czy to z Tomkiem [Stańko], czy z Maleńkim pomysł narodził się później. Tomek pojawił się na naszej płycie, ale to, że on jest w ECM, dużej wytwórni, sprawia, że cała procedura pozyskiwania artystów z najwyższej półki bywa zbyt absorbująca.

S: Można powiedzieć, że synowie poszli w Pana ślady – na nowej płycie mamy duet z Nosowską (Nosowska nagrała z Voo Voo wersję przeboju „Nim stanie się tak” – red.). Jak w ogóle odbiera Pan „Mamuta”?

No co ja mam powiedzieć? Przebój za przebojem! Zaskakują, a wydawało mi się, że już wiele o nich wiem. Wydaliśmy płyty kompletnie inne: nasza jest całością, opowieścią, która nie ma przebojów. A oni... Tam każdy numer jest perłąk muzyczną i tekstową i jednocześnie też układa się w eklektyczną, ale jednak spójną opowieść. Fantastyczne jest to, że ciągle szukają, eksperymentują, choć mogliby spokojnie odcinać kupony od dotychczasowych sukcesów... Wypuszczają się na głęboką wodę, a nie jest to droga łatwa...

S: Podobno Beatlesi i Stonesi się umawiali: „Dobra, teraz my wydajemy płytę, a za miesiąc wy”. A tu wchodzę do sklepu i bach! Na jednej półce „Dobry wieczór” i „Mamut”!

Mamy ten sam menedżment i oni przy tym kombinują, ale myślę, że odbiorców mamy innych.

J&S: My się nie zgodzimy!

(śmiech) Pamiętam, że kiedyś graliśmy koncert na Malcie. To było jeszcze przed Waglewski Fisz Emade i tam grało Voo Voo, a potem grał Fisz Emade. Jak na scenie było Voo Voo, to pełno ludzi było pod sceną, ale reszta stała na takiej skarpie. Jak skończyliśmy grać, wyszedł Fisz Emade, cały tłum spod sceny zniknął i przyszedł ci z tej skarpy. Całkowita wymiana publiczności. Myślę, że teraz jednak te płyty rodzinne zbliżyły nas i nieco zjednały nasze publiczności.

Wywiad magazynu Prowincja: <http://prowincja.art.pl/>

THE FLAMING LIPS

JAZDA BEZ TRZYMANKI

Można by pomyśleć, że z wiekiem człowiek pokornieje. Tak w każdym razie twierdzą ci, którzy z każdą kolejną dekadą na koncie coraz mniej do głowy przychodzi nieodpowiedzialnych i – jak mogłoby się zdawać – głupich pomysłów. Też nonszalancka skłonność do ryzyka rzekomo z czasem maleje. Człowiek pokornieje, nabiera dystansu. Poza tym w pewnym wieku już nie przystoi... Dlatego żeby nie przedłużać, polecam zapoznać się z twórczością The Flaming Lips – jednego z bardziej jaskrawych przykładów, że wszystko, co napisałem przed chwilą, to nieprawda.

Choć The Flaming Lips mają na koncie siedemnaście – jednych lepszych, innych nieco gorszych – studyjnych płyt, przyczynkiem do napisania o zespole był ich ostatni album pt. „With a Little Help from My Fwends”, będący dość odważną przeróbką kultowego albumu Beatlesów pt. „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band”. Podstawy każdy zna, więc poprzestanę tylko na tym, że nie przez przypadek wydany w 1967 roku „Sierżant Pieprz”, jak popularnie



nazywany jest krążek, zaliczany jest do grona tzw. płyt wszech czasów. Tymczasem to, co zrobili z nim panowie z The Flaming Lips, nikogo nie pozostawia obojętnym: jedni są zachwyceni, natomiast drudzy – jak można się domyślać – nie pozostawiają na muzykach suchej nitki. Od razu się przyznaję, że jestem fanem The Flaming Lips oraz wyznawcą The Beatles, tym samym mogę nie być do końca obiektywny. Ale po kolei. Amerykanów miałem okazję zobaczyć na żywo kilka lat temu i choć muzycznie byłem obryty na blachę, to muszę przyznać, że nieco pokpiłem sferę wizualną widowisk, jakie wiążą się z ich koncertami. Tym samym, czekając na koncert, nie spodziewałem się niczego specjalnego. Tymczasem zanim grupa wyszła na scenę, podczas długiego intro, na ogromnym wyświetlającym wizualizację ekranie pojawiła się sylwetka tańczącej kobiety. Sylwetka o dość psychodelicznych kolorach, która po kilku minutach i wygibasach postanowiła się podejrzenie wygodnie położyć... Skracając opowieść, wspomnę tylko, że po kilku minutach na scenie zaczęli pojawiać się muzycy, ale nie ot tak, po prostu; panowie wychodzili kolejno z wizualizacji ogromnej, płonącej psychodelicznymi kolorami... vaginy (w końcu nazwa zobowiązuje). Później natomiast było już tylko lepiej. Wracając natomiast do Beatlesów, nie będę specjalnie oryginalny, jeśli powiem, że są jednym

z największych zespołów minionego wieku. Do tego zespołu, który przeszedł spektakularną metamorfozę, przede wszystkim muzyczną: z ułożonego, skrojonego na miarę przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, niech będzie, boysbandu, do jednego z najbardziej wyjątkowych, oryginalnych i wpływowych zespołów XX wieku. Zmierzenie się z legendą, która potrafiła jak mało kto iść własnymi ścieżkami, jest zawsze ryzykowne, a jeśli twoje przeróbki wywracają zastany świat do góry nogami, to awantura gotowa. Tak też było w przypadku „With a Little Help from My Fwends”, ale chyba nikt, kto znał ich wcześniejszą twórczość, nie spodziewał się, że The Flaming Lips będą unieźmie i grzecznie bić pokłony? Już sama literówka, która wskazuje, że słowo *friends* brzmi, jakby wymawiający miał pełne usta albo wadę wymowy, zapowiada dziecięcą wręcz zgrzywę. Później natomiast – ależ oczywiście – jest już tylko lepiej, bo kto by wpadł na pomysł, by zwrotkę z tytułowego utworu: *What would you think if I sang out of tune / Would you stand up and walk out on me?* zaśpiewać w rytm perkusyjnej sieczki przechodzącej w słodki, ale irytujący nieco podkład na tzw. auto-tunie (używanego najczęściej w studiu nagraniowym do korekcji wokalu). Jakby tego było mało, „Lucy In The Sky With Diamonds” panowie na płycie i na żywo wykonują razem z Mobyem i Miley Cyrus... „Sierżanta Pieprza” Beatlesi nagrali, nie stroniąc od najróżniejszych używek, tymczasem wersja The Flaming Lips brzmi, jakby panowie u swojego dilerka mieli konto premium ze złotą kartą. Tak, swoją twórczością muzycy zdają się konsekwentnie mówić, że bardziej niż z zapiętymi pasami wolą jazdę bez trzymanki. O dziwo, całość brzmi świetnie i słucha się tego nie tylko z przyjemnością, ale także z uśmiechem na ustach. Owszem, płyta do łatwych i przyjemnych nie należy, a miejscami nawet brzmi trochę ciężkostrawnie, ale przecież nie można być cały czas na diecie.

MUZYKA SZYTA NA MIARĘ



Kiedy bogata i syta Europa otworzyła przed Polakami swoje granice, jak wielu rodaków wybrałem się do Anglii. Raz – by lyknać wielkiego świata, a dwa – by zarobić parę funtów na studia. Śmigając ulicami, podziwiałem wielokulturowość, gubiłem się w sklepach muzycznych, a wieczorami hasałem po parkietach, wyginając ciało w rytm muzyki granej niekoniecznie „na raz”. Przemierzając pewnego poranka codzienną drogę do pracy, zauważyłem podobiznę Lenny’ego Kravitz, która zdobiła klasyczny dwupiętrowy autobus. Pomyślałem, że na koncertach gra coś jeszcze z „Let love rule” czy „Are you gonna go my way”, więc można by się wybrać. Wytężyłem wzrok, żeby dostrzec datę i miejsce, ale niestety, oprócz podobizny Lenny’ego dojrzałem tylko wielki napis GAP.

Dawno temu...

Moda, czy – nazywając rzecz inaczej – styl ubierania się są silnie związane z muzyką, a ta z kolei z subkulturami. Dla przykładu wielobarwne koszule oraz popularne „dzwony” były charakterystyczne dla hipisów. A że rodzące się wciąż nowe trendy bardzo często odnoszą się krytycznie do istniejących wzorców, następną subkultura, czyli punk, oparta była na przeciwieństwie. Za matkę punkowego stylu ubierania się można uznać Vivien Westwood – córkę właścicieli małego urzędu pocztowego w Derbyshire.

Vivien wraz z osławionym Malcolmem McLarenem prowadziła butik. Z czasem jej projekty zaczęły być coraz śmielsze, co spowodowane było czerpaniem inspiracji ze środowisk ocierających się o społeczny margines, takich jak prostytutki czy bezdomni. Z czasem McLaren zaczął zajmować się zespołem Sex Pistols, a członkom grupy bardzo spodobały się projekty Westwood. I tak powstał „śmieciowy sznyt”, czyli poroziwane T-shirty czy podarte jeansy, mające wyrażać sprzeciw wobec zastanego porządku świata. Później wiele z tej estetyki zaczerpnął grunge.

Przyjaciele z szafy

Używając współczesnej terminologii, można powiedzieć, że przywołana wcześniej Vivien Westwood była pierwszą stylistką. Jednak jest w tym tylko trochę prawdy, bo Angielka była przede wszystkim silnym charakterem, dzięki czemu jej nazwisko zapisało się w annałach zarówno mody, jak i muzyki. Ale nie ona jedna zdawała sobie sprawę z tego, że moda i muzyka są ze sobą silnie połączone. Już manager Beatlesów, Brian Epstein, wymyślił, aby jego podopieczni występowali w idealnie



usztych garniturach. Całemu procederowi ponoć najmocniej opierał się John Lennon, który w końcu miał powiedzieć: „Założę na siebie ten cholerny garniak. Założę nawet balon, jeśli tylko będą z tego jakieś pieniądze”. W dzisiejszych czasach podejście jest już zgoła odmiennie. I nie chodzi mi tylko o skrojonych zgodnie z oczekiwaniami odbiorców „artystów”, będących wytworami koncertów fonograficznych. Dla przykładu na pytanie Marty Mach z „Gazety Wyborczej” o posiadanie stylisty dżentelmeni z Curlly Heads mówią następujące słowa: „Panowie Maciek i Adam. Zaufaliśmy im, bo okazało się, że chociaż wszyscy lubimy ciuchy, praca nad wizerunkiem zespołu jest o wiele bardziej skomplikowana niż indywidualne poczucie estetyki. Oni wiedzą, jak to zrobić, żeby piątka rozwydrzonych chłopaków wyglądała fajnie razem. W ciuchach. Nie jest oczywiście tak, że się nie spieramy. »Jestem w totalnej opozycji« – to ulubione hasło Maćka, które musi wykrzykiwać dość często, kiedy próbuje za bardzo wejść nam na głowę, a my stawiamy opór”.

Biznesplan

Każdy liczący się festiwal muzyczny ma strefę Fashion Space, gdzie swoje propozycje mogą zaprezentować młodzi projektanci. Własne tekstylia wypuszczają też rodzimi wykonawcy hiphopowi: Donguralesko jest właścicielem EIPolako, Tede – firmy Plny, a Sokół – Prosto. A to tylko nieliczne przykłady, pokazujące, że wielu

muzyków jest również niezłymi biznesmenami. Także popularne duże sklepy zauważyły, nazwijmy to, trend muzyczny i w każdym sezonie możemy nabyć koszulkę np. z Johnnym Cashem czy Joy Division. Wykorzystują także gwiazdy muzyki, które stają się twarzami kolekcji, jak np. Beyoncé dla H&M. Na naszym rodzimym rynku mieliśmy też przykład wykorzystania wizerunku Grzegorza Ciechowskiego dla kolekcji marki Bytom. Nie obyło się bez kontrowersji, gdyż córka Grzegorza oraz członkowie zespołu Republika twierdzili, że Ciechowski nigdy by na taki komercyjny krok się nie zdecydował. Trzeba dodać, że wszystko odbyło się w majestacie prawa, a Przemysław Walczuk, który reprezentował wdowę po Ciechowskim, argumentował, że kolekcja nie jest żadnym świętokradztwem, gdyż jest w dobrym guście, a ponadto przyczyni się do promowania artysty wśród młodych ludzi.

Moda wysoka

High fashion. Modowy olimp. I tu nasze dwie krainy się przenikają, tworząc ikony stylu. Jedną z nich jest z pewnością Florence Welch. Piosenkarka ma na swoim koncie współpracę z domem mody Gucci, gdzie zastąpiła Rihanne. Następnie została muzą Karla Lagerfelda



i rudowłosa Flo stała się twarzą domu mody Chanel. Ze współpracy artystki z projektantem powstała też wyjątkowa sesja zdjęciowa, zainspirowana malarstwem Tamary Łempickiej, polskiej artystki art deco, wzbudzając oczywiście zachwyt. Ale czy może być odwrotnie? Czy modelka może stać się ikoną rock'n'rolla? Oczywiście! Proszę państwa, oto Kate Moss! Brytyjska modelka, która już na zawsze będzie kojarzyć się z rockową trzadą, stając się źródłem inspiracji dla muzyków (patrz choćby debiutancki album Organka „Głupi”). Fotograf Mick Rock powiedział o niej: „Chciała zostać Keithem Richardsem modowej branży. I została”. Jednak nasze high fashion to nie tylko modelki, ale także pokazy, w których niebagatelną rolę odgrywa muzyka. Osoby dbające

o taką oprawę, posługując się gwarą modową, nazywani są *sound designerami*. Ich zadaniem jest dobranie muzyki, najlepiej nierozpoznawalnej masowo, tak by odpowiednio uzupełniła pokaz. Dla przykładu w 2014 roku w Tokio podczas pokazu marki Dior mogliśmy usłyszeć utwór „Duel” polskiej twórczyni muzyki elektronicznej – Zamilskiej. Co więcej, coraz częściej się zdarza, że muzyka pisana jest specjalnie dla pokazu, a następnie podczas całego show wykonywana na żywo. Wojtek Mazolewski w rozmowie z Małgorzatą Opalską wspominał: „Moda zawsze była związana z muzyką. To układ scalony. Myślę, że muzyka w modzie może zabłysnąć”.

PS W jednej z popularnych sieciówek matka stojąca przy kasie cierpliwie płaciła za coraz to nowe ciuchy, które przynosiła jej nastoletnia pociecha. Gdy jej wzrok spotkał się ze wzrokiem sprzedawczynie, mama rzekła: „Wie pani, córka jedzie jutro na Openera”. Muzyka i moda, moda i muzyka. Dwa przenikające się światy, które mogą doskonale się uzupełniać, stanowiąc dla siebie rodzaj zabawy, a także dając bodźce do twórczych poszukiwań. Jeśli tylko nie wkroczą do gabinetu krzywych luster.

Rafał Czarnecki

KONCERT
**WOJTEK
MAZOLEWSKI
QUINTET**
7.02.2015

„POLKA”
START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP





OKOLICZNY ELEMENT

26/09/2014

Sala Kameralna NCPP

fol. Kamil Zyla



BOKKA

25/10/2014

Sala Kameralna NCPP

fol. Kamil Pieśniewski



PABLOPAVO I LUDZIKI

24/10/2014

Sala Kameralna NCPP

fol. Kamil Pieśniewski





JARECKI & BRK

31/10/2014

Sala Kameralna NCPP

fol. Kamil Pieśniewski



VOO VOO

15/11/2014

Sala Kameralna NCPP

fol. Kamil Żyła



ØRGANEK

28/11/2014

Sala Kameralna NCPP

fol. Kamil Pieśniewski





SZAFKA GRAJĄCA

NOTHING ELSE

THESE NEW PURITANS

Część 6: These New Puritans – *Nothing Else* **[Choćby tylko to]**

Kiedy These New Puritans debiutowali w 2006 roku dance-punkową płytą *Beat Pyramid*, mało kto mógł przypuszczać, jak ogromną i zaskakującą metamorfozę przejdzie ich muzyka przez zaledwie kilka kolejnych lat. Już drugi album, *Hidden* (2010), był odważną deklaracją rosnących ambicji trójki londyńczyków: alternatywna, gęsta elektronika połączona z anarchistycznym rockiem – tak oto można ją w skrócie podsumować. Jednak to *Field of Reeds* z 2013 r. pokazał w pełni dojrzałe oblicze zespołu: elektronikę zastępują tu piękne głosy oraz żywe, często mało rockowe instrumenty, a klasyczną formę

piosenkową rozbija nabrzmiewająca niepokojącym pięknem cisza. Tą płytą Nowi Purytanie zapewnili sobie miejsce obok takich (post)rockowych awangardzistów jak Kate Bush, David Sylvian, Scott Walker czy Talk Talk. A to jeszcze nie wszystko, gdyż jak się okazuje, ich dążenie do perfekcyjnego piękna (pięknej perfekcji) wciąż trwa, co wyraźnie słychać na opublikowanym kilka miesięcy temu koncercie *Expanded: Live at the Barbican*, który w większości składa się z odegranego na żywo – i to jak odegranego! – Pola trzciny. Poniżej prezentujemy utwór *Nothing Else* – znaleźć go można na obu najnowszych wydawnictwach TNP; znaleźć go na nich absolutnie trzeba!

Path through clouds
but tied in knots
to hide the light inside.
Is there a prayer that just for a moment
real life and dreaming swap places?
Nothing else but this.

Drift like feathers down beneath the rolling waves.
A prayer that just for a minute
nonsense and meaning swap places.
Nothing else but this.

ścieżka wiedzie przez chmury
lecz nie w światło – nie dziś
co najwyżej sączy się cieniutką strużką
skrapla jak para w paciorki

czy istnieje modlitwa
zdolna uchwycić ów moment
zamiany życia w sen?
sensu w bezkres?
choćby tylko to –
owo spadanie po falach w dół
ku samemu
pulsującemu
nerwowi
życia

Puls

Dym palonych liści miesza się z chmurami, resztki jabłek wiszą na gołej gałęzi, coraz więcej gnije pod drzewem. Ziemia rozchyła skiby ku chłodnym zmierzchom. Kilka malin zawieszonych na krzaku, zmarzniętych, ostatnich. Puste skorupki po orzechach laskowych w potarganej pajęczynie. Ustał wiatr, uschły kiście. O brzasku nie widać wyciągniętej dłoni, mgły zasnują pola. O zmierzchu słychać szybkie kroki, które idą do śmierci. Inni zaprzętą się dołą i niedołą, łamią serca kołem dni i nocy. Liście w natarciu, nie do odróżnienia szarą porą. Trawy pokurczone, śnięte. Grządki gołe, wycieniowane ostrym promieniem. Świst wiatru i chłód idący od korzeni. Sromota u bram, przymrozki. U początku ścieżki i na końcu – światło. W takich okolicznościach najlepiej sprawdzają się Nowi Purytanie. Piosenka płynie od teraz do potem. Choćby tylko to, tylko tak: „Ostatni krok, jak wejście, / jest samotny, w ciemności, bez pieśni” (P. Levine, przeł. E. Hryniewicz-Yarbrough). Ale zanim zgaśnie świat, posłuchajmy tej chłodnej piosenki, zapętlonych motywów (z) These New Puritans.

Życie jest przygodą z doczesnością, w trakcie której odchodzą w bezkres kolejne dni. „Rośliny, / to właśnie one uczą nas, / że zniknąć można tak lekko, / tak pogodnie, / jakby się wychodziło z domu / przez uchylone drzwi, / cicho, żeby nikogo nie obudzić” (B. Szymańska).

Życie jest pomieszaniem słów, którymi wychodzimy na świat, jawy ze snem, oczekiwania i zwątpienia. „W końcu znajduję się zawsze / na oszronionym polu / gdzie źdźbła traw / kruszą się przy każdym kroku” (G. Kaźmierczak).

Życie jest wylicznką zawiedzionych nadziei i zapomnianych horyzontów. „Nie ma sługi, który nie miałby swego królestwa. / Moim królestwem jest rozpacz: / Nie zna granic” (P. Levi, przeł. J. Mikołajewski).



Życie jest przytomnością myślenia, które co jakiś czas osuwa się w szybki sen. „Nocą we śnie / stajesz przede mną / bierzesz mnie za rękę / i prowadzisz gdzie daleko” (T. Lindemann, przeł. J. Raczyńska).

Życie to także stracone złudzenie na temat życia. „Droga pani Schubert, nasz świat to niby odręczne pismo / Bogów, ale marny styl...” (E. Lipska).

Ktoś mądry powiedział, że życie jest przedsięwzięciem, którego wyniki absolutnie nie pokrywają kosztów. Życie jest pulsującym nerwem, którego sens stale nam umyka. Życie jest przygodą z oddechem, którego u końca będzie brakowało niczym topielcowi tchu. These New Puritans śpiewają o tym, że najważniejsze, co nam zostaje, to spadanie po falach w dół, ku samemu pulsującemu nerwowi życia. A potem ściganie wzrokiem pustki po czyjejs obecności. By wciąż odmieniać w pamięci kilka momentów niezwykłych, kiedy pozacierane są granice, kiedy życie przechodzi w sen, a coś większego od nas czasami nadaje sens człowiekowi. „Wiem. Zimny śpiew najbardziej boli, / jeszcze bardziej niż czas, który go wpycha do gniazda” (M. Kušar, przeł. M. Biedrzycki). Pozostaje dostroić się do melodii, uchwycić jej ton, poczuć puls.

Sławomir Kuźnicki & Bartosz Suwiński

FAIR koncert WEATHER FRIENDS

27.03.2015

sala kameralna NCPP

start:

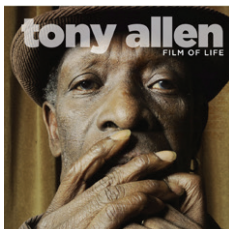
20:00



MUZYCZNE PODSUMOWANIE 2014 ROKU

Rok 2014 dobiegł końca, dlatego jako miłośnicy tej cudownej sztuki, jaką jest muzyka, nie możemy się wyzbyć pokusy podsumowań. Już od grudnia można było w kółko czytać albo słuchać, co i kto nagrał, na co zwrócić uwagę, a którą płytę słuchacze uważają za... No właśnie, sztuka to nie sport, dlatego MIC-owe zestawienie to żaden ranking. Nie mierzymy, nie liczymy ani nie stawiamy na podium. To w takim razie o co chodzi? Poniższe zestawienie płyt zostało raczej pomyślane jako subiektywne propozycje płyt i artystów, o których z jakichś powodów nie wspomnieliśmy w poprzednich MIC-ach, a których chcielibyśmy wyróżnić. Dlaczego? Przeczytajcie.

MICHAŁ MOŚCICKI



TONY ALLEN „The Film Of My Life”

Współtwórca afrobeatu to według Briana Eno „najprawdopodobniej najlepszy perkusista na świecie”, co bez wątpienia potwierdza jego ostatnie wydawnictwo, ukazując nam jednocześnie kompozytorski talent muzyka. Kipiący afrykańską energią album zabiera nas w podróż po krainie niezwykle „połamanego” rytmu, otoczonego mocno hipnotyzującymi i pulsującymi melodiami. Płyta z łatwością przełamuje wszelkie schematy, do których przyzwyczajony jest europejski słuchacz, zarówno pod względem brzmienia, jak i kompozycji. Urokowi twórczości Allena dawno temu uległ Damon Albarn, który gościnnie pojawia się w jednym z utworów. „Film mojego życia” zasługuje na Oscara.

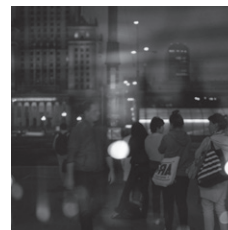
FINK „Hard Believer”



Finn Greenall i cała wytwórnia Ninja Tune zdążyli nas już przyzwyczać do najwyższej jakości wydawanych przez siebie albumów. Nie inaczej rzecz się ma z „Hard Believer”. To przepięlna emocjami płyta, w sposób nieoczywisty osadzona w tradycjach bluesowych. Jest to jednocześnie dzieło znakomicie uzupełnione współczesnymi akcentami. Fink dużo czasu spędza w Berlinie, co bez wątpienia ma swoje odzwierciedlenie w brzmieniu jego kompozycji. Prym wiodą oczywiście nastrojowe formy oparte na gitarze akustycznej, które są znakiem rozpoznawczym

Brytyjczyka. Całość jest niezwykle ciekawą opowieścią

HV/NOON



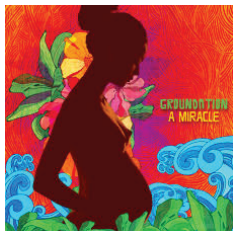
Zapowiadany nieco enigmatycznie powrót Noona do roli producenta hipopowego zainteresował zapewne niejednego fana „Świeł miasta” i „Muzyki klasycznej”. Ciekawość wzmagal również fakt połączenia sił z Hatti Vatti, specjalistą od ambientów i chilloutu. Ewentualne wątpliwości co do efektu końcowego rozwiewa sam album, który okazał się jedną z ważniejszych pozycji w rodzimej historii albumów producenckich. Przestrzeń okalająca często „ciężkie” i nieoczywiste beats, głębia i wyobraźnia w zestawieniu z doborowym towarzystwem najlepszych MC’s i doskonałej Misi Furtak to niepodważalne atuty wydawnictwa. Sentymentalny powrót Jotuze (Grammatik) doskonałe album uzupełnia, a jego wers: „odcinanie kuponów nie leży w mej naturze” może śmiało stać się jego credo.



LOOP TROOP ROCKERS „Naked Swedes”

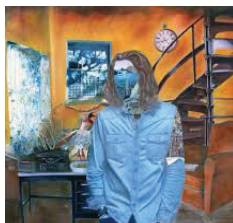
„Szwedzie, jak Ci się wiedzicie?” – chciałoby się spytać, cytując bohatera „Spisu cudzołożnic”. Płyta naszych północnych sąsiadów przekonuje, że w obozie Loop Troop wszystko przebiega prawidłowo. W tym przypadku nie dziwi, że otrzymaliśmy album zaangażowany, bo ta ekipa z tego słynie. Dostajemy rapowane opowieści o kondycji współczesnego człowieka, sytuacji społecznej w Szwecji i walce z kultem przemocy. Do tego „numery popisowe”

składu, czyli bezpretensjonalne wyznania miłosne i utwory afirmujące życie. O wykonanej pracy producenckiej wspomnieć należy dla przyzwoitości, bo Embee od lat potwierdza wysoką formę, styl i swoisty rodzaj muzycznego wizjonerstwa. Jeden z utworów nosi tytuł „Beautiful mistake” i takich „pomyłek” wypada sobie życzyć.



GROUNDATION „Miracle”

Zbrodnią byłoby napisać o tej płycie, że jest najlepszym albumem reggae wydany w roku minionym, nie z powodu jego słabości, lecz wręcz przeciwnie – to album doskonały. Taka etykieta powoduje jednak, że album automatycznie ląduje w szufladce „reggae”, a materiał zaprezentowany na płycie „Miracle” to zdecydowanie więcej, choć wydawnictwo wręcz ocieka korzennym brzmieniem. To spotkanie na szczycie reggae, jazzu i soulu, przepełnione duchem gospel i harmonią, która jest zarezerwowana jedynie dla Groundation. Pełnia brzmienia, przestrzeń i melodie, którymi wypełnione są rozbudowane kompozycje, potwierdzają niezachwianą pozycję grupy. Tytuł albumu całkowicie uzasadniony. Cudo.



DEBIUT HOZIER

Gdy w wywiadach Sinead O'Connor wymienia twój debiutancki album jako ten, który ją inspiruje, i zachęca innych do zapoznania się z nim, to możesz być pewien, że stworzyłeś coś wyjątkowego. Jeśli odtwarzany w milionach odłon singiel promujący wydawnictwo nie jest najlepszym momentem

płyty, to jest jeszcze lepiej. Właśnie tak rzecz się ma z albumem młodego Irlandczyka, tytułującego się jako Hozier. To songwriterski popis w pełnym wymiarze. Płytę wypełnia połączenie bluesa, folku i country, skupiając obok siebie ballady i pełne drapieżności utwory, gdzie artysta specjalnie nie powstrzymywał elektrycznych gitar. Tym, co spaja wydawnictwo, są emocje, wypełniające całość do cna. Na potrzeby konkretnych utworów zmienia się również głos twórcy, który umiejętnie posługuje się nim do budowania napięcia. Debiut marzenie.



DOBRE, BO POLSKIE VOO VOO „Dobry wieczór”

Śledząc wywiady z Wojciechem Waglewskim, można się orientować, że nie jest on szczególnie miłośnierny dla osób zajmujących się zawodowo ocenianiem i polecaniem muzyki. Szczególnie zaś obrywają ci, którzy omijają koncerty, gdyż płyty Voo Voo przygotowywane są również po to, żeby zaprezentować je na żywo. Wtedy utwory dostają niejako drugie życie. „Dobry wieczór” nie jest odstępstwem od tej reguły. To nieustannie gitarowe brzmienia, mocno skierowane w stronę południa USA, ale niezwykle świeże, inspirowane muzyką świata, oparte na niespotykanym instrumentarium. To również ciekawa i mądra opowieść o tym, co w środku, i o tym, co dookoła nas, nie tylko „Po godzinach”.

ŻENUA ROKU Twoja twarz brzmi znajomo

Jedno trzeba dyrektorom programowym Polsatu przyznać: potrafią dyskalkiwać. Kiedy wydawało się, że „Pamiętniki z wakacji” osiągnęły Everest żenady, pojawił się program, który zredefiniował to pojęcie. Chodzi o rozrywkę oczywiście, ale czy nie da się osiągać wy-

sokiej oglądalności w mniej odpychający sposób? Na prawdę potrzebujemy celebrytów (nie mylić z artystami) przebijających się za Danutę Rinn, Czesława Niemena czy Boba Marleya? Obawiam się, że to naiwne pytania, a jak w „Hydrozagadce” mówił Doktor Plama, „Język złota to jedyne esperanto”.

RAFAŁ CZARNECKI



SOHN „Tremors”

Christopher Taylor w branży muzycznej nowicjuszem totalnym nie jest. Zdążył już produkować dla Banks oraz być remikserem Lany Del Ray, wpisuje się jednocześnie w nurt tzw. współczesnego songwritingu. Gra na fortepianie i gitarze, sam śpiewa, a wszystko to okrasza potężną dawką elektroniki. Potrafi kreślić z tych wszystkich narzędzi wyjątkowe zmysłowe, melancholijne pejzaże. Kolejny intrygujący debiut tego roku.



TYLER MCFERRIN „Early Riser”

Jeśli myślicie, że nazwisko tego pana z kimś wam się kojarzy, to nie jesteście w błędzie. Tak, to syn Bobby'ego McFerrina („Don't Worry Be Happy”), którego zresztą usłyszymy w jednym kawałku. Od razu dodajmy, że Tyler z pewnością nie jest synem marnotrawnym, na „Early Riser” mamy bowiem do czynienia z nu-jazzem, który współgra z elektronicznym soulem i r'n'b. Zresztą płyta wyszła nakładem wydawnictwa Flying Lotus, co samo

w sobie już może służyć za rekomendację. Jednak to, co najbardziej mnie urzekło w tym albumie, to sposób łączenia elektroniki z żywymi instrumentami. Oraz to, że Tyler nie zapomina, pomimo rozimprowizowanego ducha albumu, o wokalach, które tworzą piosenki. I jeszcze jedno: pomimo tytułu chyba lepiej słuchać wieczorem.



CARIBOU „Our Love”

To czwarty album Dana Snaitha, który ukrywa się pod szyldem Caribou. Jego pozycja w świecie muzyki elektronicznej jest na tyle ugruntowana, że już nic nikomu nie musi udowadniać. Może tylko nagrywać bardzo dobre płyty. Tylko i aż. Bo sztuka to jednak trudna i wymagająca, ale i tym razem Kanadyjczyk nie zawiodł. Na „Our Love” mamy to, za co go wszyscy doceniają: swobodne łączenie stylów, budowanie piosenek w nieoczywisty sposób, subtelne wokale i psychodeliczną elektronikę. Czyli mistrz na się świetnie.

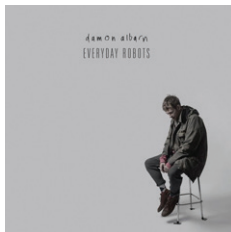


JUNGLE „Jungle”

Sposób promocji tego londyńskiego kolektywu jest bardzo zacny, artyści nie straszą bowiem z okładki swoimi facjatami, a ich kolejne klipy przedstawiają tańczących przedstawicieli

homo sapiens w różnym okresie swego pobytu na Ziemi. A co do muzyki zawartej na ich debiucie, to Jungle stworzył płytę z leniwego funku, nowoczesnego soula, do tego całość otoczył – uwaga, nadciągą słowo hydra – dyskotek-

kowo-chilloutowym brzmieniem. Jedno ostrzeżenie: jeśli nie lubisz falsetów w wokalach, to płyta nie dla ciebie. Ale piszący lubi, a jak jeszcze łączą się w zgrabne melodie, to lubi tym bardziej. Oby więcej takiego popu, czego zarówno wam, jak i sobie w nowym roku życzę.



DAMON ALBARN „Everyday Robots”

Miało być o nowej płycie Marianne Faithfull. O tym, że kolejny album w dorobku (w jej przypadku dwudziesty) nie musi być marnym odcinaniem kuponów od lat świetności. Że wciąż można zachwycać zarówno sposobem opowiadania historii, jak i muzyką. Że całość jest jednocześnie dojrzała i inspirująca. Naprawdę chciałem. Ale co poradzić, jak powyższe słowa (no, może tylko to, że nie jest to jego dwudziesta płyta) można przykleić także do pierwszej solowej płyty Damona Albarna. A tej słuchałem o wiele częściej. I jeszcze to „Heavy seas of love” na koniec. Perelka! (Żeby nie było: na nowe Blur nadal czekam).



DOBRE, BO POLSKIE FAIR WEATHER FRIENDS „Hurricane days”

Mam nadzieję, że nie doczekam czasów, gdy zespoły wydawać będą tylko co jakiś czas epki. Uważam po prostu, że aby poznać oblicze danego wykonawcy, musi się on zmierzyć z albumem długogrającym. Dlatego też czekałem na pełną płytę i muszę przyznać, że Fair Weather Friends wyszli z tej próby obronną ręką. Jednak to, co najbardziej urzekło mnie na tym albumie, to różnorodność

kierunków, w jakich muzycy pozwolili sobie pójść: całość jest utrzymana w elektronicznej konwencji, przy jednoczesnym wykorzystaniu żywych instrumentów. To po prostu dobre piosenki z kilkoma wręcz stuprocentowymi singlami. Oby tylko od tych wszystkich pochwał nie przewróciło im się w głowach. Panowie, czekam na więcej!



DEBIUT ROKU WE DRAW A „Moments”

Jak wiadomo, We draw A to duet, który tworzą Piotr Lewandowski z nieistniejącego już Indigo Tree oraz Radek Krzyżanowski z Kamp!. Po wydaniu dwóch epk w końcu przyszedł czas na pełnowymiarowy album.

I to jaki! Precyzyjnie skonstruowane utwory, w których hipnotyczna elektronika łączy się z subtelnym wokalem Piotra Lewandowskiego. To absolutnie spójny album, który broni się jako całość. A taki „Jumbo Love” mógłby spokojnie być singlem radiowym, tylko jakie radio puści teraz piosenkę, która ma 7 minut? Posłuchać koniecznie!

ŻENUA ROKU AVRIL LAVIGNE „Hello Kitty”

Chyba zauważyliście, że MIC od hejterki stroni. Bo ani my wielcy panowie redaktorzy, ani autorytety muzyczne. Ot, pasjonaci, którzy mogą się najwyżej pokłócić o to, czy na przykład Soniamiki jest wydarzeniem sezonowym, czy sprawną songwriterką. Każdy ma swoje dewiacje. Ale to, co popełniła panna Avril, woła o pomstę do nieba. Jakis prostacki dance, idiotyczny refren i ten wkraczający bez sensu niby-dubstep. Brrrrr! I proszę, nie klikajcie nawet, aby to sprawdzać, ten jeden raz uwierzcie na słowo. Wystarczy już, że ja to zrobiłem...

MAREK SZUBRYT



WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET „Polka”

Ostatnia płyta kwintetu Wojtka Mazolewskiego – człowieka, który sprawił, że jazz znów staje się modny – jest kwintesencją stylu wypracowywanego przez ostatnie lata. Jak na jazzowy album przystało, „Polka” zawiera 13 instrumentalnych utworów, jednak – mimo że na płycie nie pada ani jedno słowo – o wiele bardziej pasuje tu określenie piosenka. Oprócz klasycznego brzmienia Wojtek Mazolewski Quintet przyzwyczaiał nas także do piosenkowej wręcz formy komponowanych utworów, do których zamiast partii poszczególnych instrumentów można by podłożyć wokół. I w błędzie jest ten, kto pomyśli, że jest to zarzut, skądże znowu! Choć osobiście wolę dwie poprzednie płyty kwintetu, gdzie oprócz rewelacyjnych melodii, w środku albumów, jest też mnóstwo nieoczywistego, jazzowego grania, to trzeba przyznać, że „Polka” to spójny, chwytliwy i naprawdę niezły album. Do tego jak zrealizowany – majstersztyk!



NATALIA PRZYBYSZ „Prąd”

Trochę to zabawne, ponieważ zabierając się do pisania o „Prądzie”, przypominałem sobie, że zeszłoroczne zestawienie rozpocząłem nieco pominiętym albumem Rity Pax – siostry Natalii Przybysz.

I choć obie płyty są diametralnie różne, to sposób, w jaki

„zaistniały na rynku”, jest wręcz identyczny, tzn. wszyscy doceniają talent, wykonanie i muzykalność, ale cóż z tego, że nagrana została dobra płyta? Wiadomo, że dobra, przecież to jedna z Przybyszówien. Tymczasem na swojej ostatniej płycie Natalia konsekwentnie brzmieniowo nawiązuje do lat sześćdziesiątych, dlatego zamiast wzruszyć ramionami, polecam włączyć w swoim otwarczu „Prąd” i na dobrych głosnikach posłuchać, jak można, nawiązując do przeszłości, stworzyć coś świeżego i oryginalnego zarazem. No po prostu „Miód”!



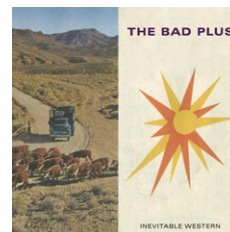
PABLOPAVO Tylko

PABLOPAVO „Tylko”/„Polorz”

O Pawle Softysie, bo tak naprawdę nazywa się Pablopavo, już wspominaliśmy. Że chłopak zdolny, że pisze świetne teksty, że nie zgina karku i nie chodzi na skrót. Wszystko to prawda.

Oby tylko nie zabrakło mu wytrwałości, ale jeśli jednego roku wydaje się dwie płyty, to chyba trzeba być pewnym swego. Jako że o nagranych z Ludzikami „Polorze” było już wcześniej, tym razem polecam zerknąć na solowy album „Tylko”, bo – mam wrażenie – dopiero zaczynamy poznawać prawdziwe oblicze Pablopavo. Dotychczas najbardziej znany jako sprawny nawijacz Vavamuffin i wokalista-opowiadacz z projektu z Praczasem i Ludzikami Pablopavo postanowił sięgnąć po bliżej nieokreśloną, surową mieszankę bluesa i country i zająć miejsce naczelnego nadwiślańskiego *storyteller*. I niech nikt się nie boi, bo na „Tylko” znajdziecie nienachalne, urzekające opowieści, z których dał się już artysta dał się już poznać wcześniej. Dobry ruch, bo oprócz hip-hopu nie ma lepszej muzyki do opowiadania niezwykłych historii o zwykłych ludziach niż dźwięki południa USA. Proste, surowe,

a jednak ujmujące. „Tylko” tyle i aż tyle.



THE BAD PLUS „Inevitable Western”

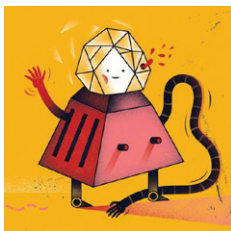
The Bad Plus od początku swojej działalności powodują, że patrzę na nich przychylnie. I nie tylko brawurowe i zarazem komiczne reinterpretacje hiciorów takich jak „Iron Man” Black Sabbath,

„Knowing Me, Knowing You” Abby czy „Smells Like Teen Spirit” Nirvany, które znaleźć można na pierwszych płytach, są tego powodem, ale przede wszystkim formuła, w jakiej panowie zdecydowali się grać. Zespół tworzy trzech muzyków: Ethan Iversen, Reid Anderson i Dave King grających na pianinie, kontrabasie i perkusji. Co w tym wyjątkowego? Na pierwszy rzut oka nic, ot, trio jak jedno z wielu. Ale właśnie w tym rzecz, że The Bad Plus jest nieco inne niż wszyscy. Gdy się gra w tak małym składzie, nie ma miejsca na pomyłki ani na przechwałki. Nikt się nie popisuje, ale też nikt nie unika ani nie udaje, bo gdy trzech muzyków gra jazz, wszystko od razu widać jak na dłoni. Co więcej, w 2014 roku Amerykanie wydali swoją wersję „Święta Wiosny” Strawińskiego, dlatego tym bardziej cieszy, że na „Inevitable Western” panowie zdecydowali się zamieścić dziewięć własnych kompozycji. W tym miejscu należy wspomnieć, że The Bad Plus tworzy nie tylko trzech muzyków, ale też trzech kompozytorów. Ze świecą szukać frontmana, który prowadzi grupę, narzucając jednocześnie swoją wizję. I chyba w tym tkwi sedno, bowiem dzięki temu, że zespół tworzy trzech wyjątkowych, ale równorzędnych partnerów, trudno określić jeden wiodący styl, co w ich przypadku działa zdecydowanie na plus. The Bad Plus!



ROBERT PLANT „Lullaby and... The Ceaseless Roar”

Zanim „Lullaby and... The Ceaseless Roar” została wydana, miałem przyjemność usłyszeć Roberta Planta and the Sensational Space Shifters na żywo. I jeśli ktoś podobnie jak ja uważa, że jest to naprawdę niezły album, to niech przy najbliższej sposobności kupi bilet na koncert. Czegoś takiego dawno nie słyszałem: wymienite aranżacje, bogate i zaskakujące instrumentarium oraz puls – najkrócej rzecz ujmując – godne pozazdroszczenia! Ale to nie wszystko, bowiem chyba wszyscy się zgodzimy, że z takim dorobkiem Robert Plant już niewiele musi. Tymczasem muzyk nagrał świetną płytę, która choć nie przekreśla dorobku, to jednak w ogóle nie ogląda się na to, co było. Takie zaskoczenia zawsze są przyjemne.



DEBIUT ROKU JERZ IGOR „Mała Płyta”

Nie, sam dzieci nie spodziewam, ani – o ile mi wiadomo – żadnego się nie spodziewam. Skąd to wyznanie? Bo niby „Mała Płyta” duetu Jerz Igor jest albumem tylko dla dzieci. Owszem, z myślą o najmłodszych przez Jerzego Rogiewicza i Igora Nikiforowa została nagrana i chwala im za to! W końcu ktoś się odważył i nagrał przepiękną płytę, nie traktując dzieci jak dotkniętych debilizmem stworzenia może i pokrewne, ale nie będące jeszcze w stanie zrozumieć muzyki (sic!), jak dorośli. Tym samym na „Małej Płyce” zamiast kretyńskiej sieczki, która w rytm prostackiej łupanki z dumnym tekstem każe podrygiwać

przez kilka minut, otrzymujemy 12 utworów, które zaaranżowane, zaśpiewane i zagrane są w sposób ujmujący od pierwszego dźwięku. Świadom wszystkich różnic, zaryzykuję nawet stwierdzenie, że to pierwszy od czasów „Małego Voo Voo” album dla najmłodszych, który nie patrzy na swoich odbiorców z góry. Jednak – zaręczam – „Mała Płyta” to także propozycja, z której mnóstwo radochy będą miały osoby dorosłe! Bo, po prostu, w swoim debiucie Jerz Igor stworzył rewelacyjną i wysmakowaną porcję muzyki, której w tak licznym kraju powinno być w bród, a z jakichś niezrozumiałych dla mnie względów jest jak na lekarstwo. Sorry, ale chyba taki mamy klimat.



DOBRE BO POLSKIE BAABA „Easter Christmas”

Umówiliśmy się, że w przypadku podsumowania 2014 roku nie będziemy używać określeń „najlepsze płyty”, bo to żaden ranking. Ale jeśli w jakiś sposób grupy BAABA nie wyróżnią, to trafi mnie szlag, a jako że wydana w listopadzie „Easter Christmas” nie schodzi z mojego odtwarzacza, bez wahania mogę powiedzieć, że jest to moja ulubiona płyta 2014 roku. Zanim jednak o albumie, trzeba wiedzieć, że zespół opuścił Macio Moretti, co w pierwszym momencie sprawiło mnie w zaniepokojenie, ale jak się szybko okazało, zupełnie niesłusznie. Choć, wiadomo, Macio bogiem jest, wyszło że poczet bóstw w naszym kraju jest niemały, gdyż jego miejsce na perkusji zajął Jan Emil Młynarski (tak, syn TEGO Młynarskiego). I cóż? Musicie „Easter Christmas” posłuchać, bo to wyjątkowo świeży i brawurowy przykład zespołowego grania na pograniczu jazzu

i elektroniki (nie wierzycie, to na początek sprawdźcie na YouTube wideo pt. „Sobota”). Naczelne zgrywusy i kameleony warszawskiej sceny za nic mają reguły, a podczas gry bawią się formą i brzmieniem z wirtuozerią dostępną tylko najlepszym! Do tego ten *drive*, który swoją grą wniósł do zespołu Młynarski! Taka BAABA to istne чудо!

ŻENUA ROKU RYCHU PEJA VS CGM

Na początku chciałem napisać o pokrętnym tłumaczeniu się Grabaża ze sprzedania do komedii romantycznej piosenki „Dzień dobry, Kocham cię”, którą Basia Kurdej-Szatan śpiewa, a Liber mamrocze. Ale zamiast tego zdecydowałem wyróżnić Ryszarda Peję, który w odwecie za niezadowolającą jego zdaniem recenzję płyty na portalu CGM.pl postanowił zablokować redakcji kanał na YouTube. A jako że Ryszard posiada konto premium, a w przypadku zgłoszenia naruszeń Amerykanie działają z automatu, chwilę później wszystkie wywiady, które CGM.pl przeprowadził, zostały zablokowane. Panowie próbowali się skontaktować i jakoś dogadać, ale usłyszeli, że skoro CGM.pl może pisać na jego temat co chce, to raper może blokować co chce. Również desperacka propozycja wykasowania wszystkich materiałów z udziałem Pei nic nie dała, nie licząc chamskiego esemesa. Szczegóły, ku przestrodze, w internetach...



FISZ EMADÉ TWORZYWO „MAMUT”

To już się robi powoli nudne, bo ile razy któryś z Wąglewskich wyda płytę, to wszyscy cmokają z zachwytem. Mniej lub bardziej, ale nie przypominam sobie, by ktoś napisał lub powiedział, że panom powinęła się noga i nagrali chłam. Dlatego, Drodzy Hejterzy, mam złe wiadomości, bo i tym razem pożytki nie dostaniecie, gdyż „Mamut” to jedna z najlepszych płyt, jakie bracia wspólnie nagrali. Śmiem nawet stwierdzić, że ostatnim albumem Fisz i Emade otwierają nowy rozdział, bo jeśli wcześniejsze ich dokonania, choć zawsze oryginalne, były zdecydowanie łatwiejsze do zaszufładowania: raz przeważał hip-hop, raz gitary, a jeszcze kiedy indziej elektronika, tymczasem na „Mamucie” usłyszeć można muzykę najróżniejszą: gospel, rap, elektronikę, jazz, jednak nie ma się wrażenia, jakby całość była sztucznie polepionymi dźwiękami. Do tego Fisz coraz mniej rapuje, a coraz więcej – no nie można tego inaczej nazwać – śpiewa. I oby tytułowy „Mamut” miał symbolizować ogromne zwierzę, które jak tupnie, to wszystko inne trzęsie się w posadach, a nie wymarły gatunek...

Marek Szubryt



J. COLE, 2014 „FOREST HILLS DRIVE”

Trzeci album J. Cole'a doskonale zamknął rok 2014 i przekonuje, że obawy o artystyczną drogę rapera były nieuzasadnione. Płyta jest bardzo osobliwym konceptem – opowieścią o czasach dzieciństwa, dorastaniu i miejscu, z którego wyrusza się w świat. J. Cole jest również producentem wszystkich utworów, co pozwoliło mu osiągnąć niezwykle ciekawy efekt i w pełni oddać to, co ma do przekazania swoim słuchaczom, nie idąc jednocześnie na żadne kompromisy. Głębokie bębny, nienachalne sample, oszczędny, ale mięsisty bas tworzą mocny fundament, który wzbogacają smyczki, piano i syntezatory. Cole bez problemu potrafi zaśpiewać refren, a kiedy rapuje, czuć naturalną lekkość. Mocna opozycja do pełnego blichtru i efekciarstwa „nowego” rapu. Jest nadzieja.

Michał Mościcki



THE JUAN MACLEAN „IN A DREAM”

W jednym z moich ulubionych filmów Przemysława Wojcieszka, pt. „Głośniejszy od bomb”, podczas zabawy weselnej pada absolutnie fantastyczna kwestia, w której tzw. przedstawiciel lokalesów zagaduje upatrzoną uprzednio na parkiecie niewiastę: „Przepraszam, czy na ciebie nie mówią przypadkiem polska Britney Spears? Zakręcimy girą?”. I nie o osławioną Britney Spears mi chodzi, ale o girę i kręcenie nią w rytm. Pochodzący z Nowego Jorku projekt tworzą Nancy Whang (grała w LCD Soundsystem) i John MacLean. Album wypełniają bardzo zgrabnie wymyślone i zrealizowane synth-popowe utwory, raz flirtujące ze stylistyką disco, raz z house'em. Dobrym rozwiązaniem jest to, że autorzy podzielili się wypełnianiem przestrzeni wokalne. Tym bardziej że gdy ich wokale występują obok siebie, mamy do czynienia z bardzo ciekawym brzmieniowo połączeniem. Nie jest to album, który wytyczy nowe ścieżki w muzyce tanecznej, ale raczej porządna rzemieślnicza robota z elementami błysku. Ale słucha się naprawdę przyswoicie. Zresztą nie tylko słucha. To jak, zakręcimy girą?

Rafał Czarnecki

ZALECA SIĘ!



„SONIC HIGHWAYS” REŻ. DAVE GROHL

Z Dave’em Grohlem mam problem, powiedziałabym, zasadniczy. Szanuję go jako artystę, choć przyznać muszę, że jeśli miałbym wybierać, to zdecydowanie bardziej lubię okres, kiedy siedział za bębnami, niż kiedy gra na gitarze i śpiewa. Nie przekreślam wszystkiego, ale jakbym musiał wymienić najlepszą płytę Foo Fighters, to byłoby to... The Best Of. Niemniej, gdyby ktoś twierdził 15 lat temu, że ten pan dokona tylu tak ciekawych rzeczy, to kazałbym mu puknąć się w czoło. Tymczasem Grohl jest jedną z ciekawszych osobowości amerykańskiej sceny muzycznej: nagrywa, pisze, produkuje, wspiera, a ostatnio także reżyseruje – człowiek renesansu! I właśnie z powodu tej ostatniej aktywności o nim wspominam, gdyż Dave Grohl jest reżyserem i pomysłodawcą 8-odcinkowego serialu o amerykańskiej muzyce pt. „Sonic Highways”. Tak też nazywa się ostatnia płyta Foo Fighters i w tym cały problem: scenariusz każdego odcinka opiera się bowiem na podróży zespołu po zakątkach USA. Raz grupa nagrywa w studiu w Chicago, raz w Nowym Orleanie, by zaraz przenieść się do Kalifornii, Austin lub Seattle. A Stany



Zjednoczone to kraj nie tylko wielki, ale też ogromnie zróżnicowany, piękny i bogaty. Także muzycznie. I byłoby pięknie, bowiem jako *persona*, którą darzą szacunkiem, Grohl spotyka się z przeróżnymi muzykami, fascynatami, inżynierami dźwięku i wieloma, wieloma innymi osobami, które opowiadają o tym, dlaczego blues i jazz w tak specyficzny sposób rozwinął się w Chicago, a dlaczego w Luizjanie grano już zupełnie inaczej, czym różni się Nashville od Austin, a co ma do zaferowania pustynia Kalifornii i Nevada. I owszem, mając do dyspozycji osiem odcinków (pieniądze na serię dało HBO), nie ma szans, by powiedzieć wszystko, ale – choć „Sonic Highways” polecam zobaczyć – należy zaimpregnować się na „cudowność”, jakiej doświadczają za każdym razem muzycy FF. Wszystko jest niewiarygodne oraz za każdym razem miejsce, w którym nagrywają, „ma niewiarygodną aurę, siłę i moc, która wpływa na to, jak wygląda kompozycja i brzmi nagranie”. No i jeszcze trzeba wytrzymać utwór Foo Fighters, który opisuje zarówno miejsce, jak i cały odcinek, a który muzycy prezentują na końcu. Tak czy inaczej warto zobaczyć, szczególnie polecamy średnio zaawansowanym oraz tym, którzy dotychczas traktowali Stany jako monolit przedzielony co najwyżej linią wschód – zachód oraz, ewentualnie, północ – południe.

PS Do odcinka piątego, opowiadającego o Los Angeles, koniecznie trzeba dorzucić pełnometrażowy dokument „Sound City”, również w reżyserii Grohla. Mówiłem, że człowiek renesansu.

Marek Szubryt



„WHIPLASH” REŻ. DAMIEN CHAZELLE

Gdzie jest granica między natchnieniem a szaleństwem? Jaką cenę można zapłacić za wejście na sam szczyt oraz czy w ogóle są jakieś reguły i limity? No i czym jest sztuka? Boskim darem i natchnieniem danym tylko nielicznym czy może najlepszym, ale jednak rzemieślnem? Niby podstawowe i niespecjalnie oryginalne, ale to tylko niektóre z pytań, jakie stawia przed nami 29-letni Damien Chazelle. I nie czepiałbym się ogranego tematu, zamiast tego polecam obejrzeć „Whiplash” i posłuchać, jak grane w nim są tematy jazzowe. Dawno nie widziałem filmu, w którym – choć zabrzmi to trochę dziwnie – muzyka sfilmowana jest w tak wyjątkowy i sugestywny sposób. Nie bez przyczyny na pewno jest fakt, że młody Chazelle uczył się do szkoły muzycznej i pragnął zostać... wybitnym perkusistą. Kiedy oglądamy młodego Andrew (Miles Teller) ćwiczącego, aż z dłoni leje mu się krew, kiedy twarze muzyków złane są potem oraz kiedy uderzane talerze drżą w taki sposób, że ma się wrażenie, że słyszymy każdą nutę, ma się ochotę sięść za bębnami i grać z najlepszymi orkiestrami jazzowymi świata. Ale zaraz, spokojnie, jeśli twierdzisz, że mógłbyś grać jak oni, to chyba nie obejrzałeś filmu dokładnie. Jeszcze raz, spokojnie odpowiedź sobie na pytanie: czy się pospieszyłeś czy zwalniałeś? W razie trudności pomocą służy demoniczny nauczyciel Andrew Terence Fletcher (J.K. Simmons).

Marek Szubryt

#08 styczeń 2015

Redakcja: Narodowe Centrum Polskiej Piosenki,

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, mic@ncpp.opole.pl

Prowadzenie, opracowanie, redakcja treści: Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny: Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Projekt, opracowanie graficzne, skład: Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Reklama: Aleksandra Chłodnicka, a.chlodnicka@ncpp.opole.pl

Współpraca: Jowita Lis, Stanisław Bitka, Sławomir Kuźnicki, Bartosz Suwiński

Nakład: 2000 egzemplarzy

Wydawca: Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

© Copyright by MIC

„Muzyczny Informator Culturalny”

MAGAZYN BEZPŁATNY



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki



www.ncpp.opole.pl



facebook.com/ncpppl



twitter.com/ncpp_opole



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki



BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP, KIOSKU KULTURALNYM
ORAZ NA STRONIE INTERNETOWEJ
WWW.NCPP.OPOLE.PL
NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
UL. PIASTOWSKA 14A, OPOLE 45-082



BILETY / REZERWACJE

501 958 255

REPERTUAR

NARODOWEGO CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

07

LUTEGO

WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

13

LUTEGO

ACID DRINKERS



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

14

LUTEGO

IZA LACH



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

27

LUTEGO

THE ANALOGS + FARBEN LEHRE + OFFENSywa



START 19:00
SALA KAMERALNA NCPP

28

LUTEGO

ENEJ + POPARZENI KAWĄ TRZY



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

06

MARCA

DAWID KWIATKOWSKI



START 17:00
SALA KAMERALNA NCPP

07

MARCA

KRZYSZTOF ZALEWSKI



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

12

MARCA

HEY



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

18

MARCA

ROCK TIME



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

20

MARCA

SKUBAS



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

27

MARCA

FAIR WEATHER FRIENDS



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

28

MARCA

„POLSKIE GÓWNO”

TYMON & THE TRANSISTORS + GOŚCIE



START 20:00
SALA KAMERALNA NCPP

karta niezłego gościa



ZBIERAJ PUNKTY ZA KONCERTY I ODBIERZ **DARMOWĄ**
SZCZEGÓŁY NA STRONIE: **WEJŚCIÓWKĘ**
WWW.NCPP.OPOLE.PL W ZAKŁADCE KARTA I W KASIE NCPP.

 **Sopelek**[®]
smaczne lody od lat



Lody
własnej
produkcji

www.sopelek.com.pl

REKLAMA

REKLAMA

REKLAMA